

Dariusz Gawin

Gombrowicz - wychowawca Polaków

Przeciętnemu polskiemu inteligentowi Gombrowicz kojarzy się z bezlitosną krytyką tradycyjnego patriotycznego wychowania, którego centralnym punktem jest naiwna apoteoza mesjanistycznego romantyzmu. Każdy z nas pamięta lekcję polskiego z *Ferdydurke*, kiedy to nieszczęsnym uczniom wbija się do głowy sentencję, że „Słowacki wielkim poetą był”. Morał zapamiętany z Gombrowicza sprowadza się zatem przeważnie do stwierdzenia, iż wszelkie projekty wychowawcze muszą być z istoty swojej podszyte groteską i symboliczną przemocą. Czy jednak autorowi *Ferdydurke* chodziło o całkowite i ostateczne odrzucenie wszelkich projektów wychowawczych? A może raczej atak na romantyczną legendę służył tylko przygotowaniu gruntu dla przeprowadzenia własnego wielkiego programu wychowania Polaków? Jeśli właśnie tak w istocie było, atak na romantyzm można określić tylko jako wstęp, do przeprowadzenia własnych planów. Odrzucenie romantycznej mitologii w tej perspektywie nie tyle miało służyć otworzeniu perspektywy nieokiełznanego indywidualizmu, ile raczej wychowania pokolenia takich indywidualistów, którym nigdy nie zaświta w głowach myśl, że ich cała - na pozór oryginalna - osobowość jest wynikiem świadomego wysiłku wychowawczego. Jaki to zatem program przyświecał Gombrowiczowi, gdy przystępował do ostatecznej rozprawy z polską tradycją?

Uderzającą cechą tekstów Gombrowicza jest świadoma proklamacja wychowawczych zamiarów. Gombrowicz wcale nie ukrywa, iż jego atak na dotychczasowy kształt polskiej tradycji nie jest czynnością autoteliczną, lecz tylko wstępem do przeprowadzenia zamysłu daleko bardziej ambitnego, którego istotą jest przekształcenie polskiej tożsamości i nadanie jej nowego, to jest gombrowiczowskiego kształtu. Tylko pozornie zatem taka rola może być określona jako rola buntownika. W istocie chodzi raczej o kogoś, kogo można określić jako proroka czy też - by użyć greckiego określenia - nomotetę, prawodawcę. Gombrowicz pisze o tym zresztą wprost w pierwszym tomie swojego *Dziennika*: „Poniekąd czuję się Mojżeszem. Zabawna, doprawdy, w naturze mojej ta skłonność do przesady na własnym punkcie. W marzeniach nadymam się, jak mogę. Ha, ha, dlaczego - zapytacie - czuję się Mojżeszem? Sto lat temu litewski poeta wykuł kształt polskiego ducha, dziś ja, jak Mojżesz, wyprowadzam Polaków z niewoli tego kształtu, Polaka, z niego samego wyprowadzam.” Trzeba przyznać, że to mocne słowa. Naturalnie Gombrowicz nie byłby sobą, gdyby nie osłabił wymowy tej grandiosnej deklaracji, czy też gdyby nie asekurował się autoironią - bowiem w następnym

zdaniu wyznaje: „Uśmiełem się do łez z mojej megalomanii”. W roku 1953, mogło to wyglądać na ułańską szarżę, na błazenadę, jednak już wtedy byli ludzie, którzy przeczuwali, co się święci. Józef Wittlin we wstępie do pierwszego wydania *Trans-Atlantyku* w paryskiej Kulturze pisał do emigracyjnych czytelników, że życie dzieł Gombrowicza zacznie się na dobre, gdy o nich zapomną: „Gdy pozornie o nich zapomnimy, gdy będziemy już zajęci czym innym (...). Powoli, lecz nieuchronnie zacznie nas wtedy nurtować Gombrowicz. Trudno go będzie nam wyprosić z naszej świadomości. Już on tam gospodaruje, już demoluje różne fetysze, totemy i tabu. Ale też „działa” konstruktywnie, oczyszczająco”. Prorocze słowa.

Program Gombrowicza został wyłożony na dosłownie pierwszych stronach *Dziennika*. Jego wykład zaczyna się od polemiki z Lechoniem, który miał to nieszczęście, iż napisał gdzieś, że Tomasz Mann uznawał *Nie-Boską komedię* za wielkie dzieło. Gombrowicz jadowicie kwituje taką obronę polskości: „tym to cukrem od dawna się krzepimy”. Taka pisanina to nic więcej jak patriotyczny obowiązek. Lechoń jednak to tylko wstęp, tylko pierwszy element z całego ciągu skojarzeń: „Kiedyś zdarzyło mi się uczestniczyć w jednym z tych zebrań poświęconych wzajemnemu polskiemu krzepieniu się i dodawaniu ducha... Gdzie odśpiewawszy Rotę i odtańczywszy krakowiaka, przystąpiono do wysłuchiwanie mówcy, który wysławiał naród, albowiem „wydaliśmy Szopena”, albowiem „mamy Curie-Skłodowską” i Wawel, oraz Słowackiego, Mickiewicza i, poza tym, byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa a konstytucja Trzeciego Maja była bardzo postępową.” Nie ma potrzeby przytaczać dalszego ciągu. Każdy polski inteligent zna na pamięć nie tylko dalszy ciąg, lecz także całą linię rozumowania, którego dopełnieniem jest komentarz: „Geniusze! Do cholery z geniuszami! Miałem ochotę powiedzieć zebrany: - Cóż mnie obchodzi Mickiewicz? Wy jesteście dla mnie ważniejsi” i poirytowane komentarze, że tam gdzie jest obecna Polska, tam Polacy stają się mniejsi i głębsi od siebie samych, bo to właśnie ona wprowadza pomiędzy nich fałsz i skrępowanie i ona jest odpowiedzialna za to, że wobec Polski Polak nie umie się zachować. To dlatego zaraz potem Gombrowicz opowiada, jak to pewnego razu w towarzystwie, w którym toczyła się rozmowa o Polsce, zaczął się zachowywać ostentacyjnie lekceważąco w stosunku do polskiej tradycji - „Jesteście ubogimi krewnymi świata, którzy usiłują imponować sobie i innym”.

Brutalna ironia nie jest tu tylko instrumentem obrony - jest także instrumentem wychowawczym. Czymś w rodzaju obowiązkowego, porannego prysznic w lodowatej wodzie, który dla wyrobienia charakteru zalecali dla wyrobienia charakteru teoretycy pedagogiki z początku dwudziestego wieku.

Konieczność tak drastycznych środków wychowawczych wynika z powagi położenia. Polska tożsamość przybrała bowiem formy patologiczne. Określeniem owej jednostki chorobowej jest „forma osłabiona”, czy też forma zdegradowana. Najbardziej klasyczna jej definicja pada w rozmowach z Dominikiem de Roux: „Czymże jest Polska? Jest to kraj między Wschodem i Zachodem, gdzie Europa już poczyna się wykańczać, kraj przejściowy, gdzie Wschód i Zachód wzajemnie się osłabiają. Kraj przeto formy osłabionej. (...) Na tych równinach otwartych na wszystkie wiatry, odbywała się od dawna wielka dekompozycja Formy i jej Degradacja”. Każda forma posiada swoje historyczne zakorzenienie, czyli swoją tradycję. Stąd też wyzwolenie od dotychczasowej formy polskiej oznaczałoby także powstanie nowego stosunku do narodowej przeszłości. Jeśli bowiem tradycja polska lepi, formuje Polaków, to w celu uzyskania nowego ich kształtu, należałoby zmienić także polski sposób pisania o historii. W drugim tomie *Dziennika* Gombrowicz pisze zatem: „Nie będąc już zmuszeni do kochania i uwielbiania polskości, nie potrzebowalibyśmy też kochać naszej historii. Upatrując naszą wartość nie w tym, czym jesteśmy, a w tym, że zdolni jesteśmy przewyciężyć siebie, nasz kształt obecny, moglibyśmy odnieść się do historii jak do wroga”. I dalej czytamy prawdziwie prorocze słowa, kiedy to Gombrowicz marząc pisze, iż widzi ów przyszły „ton nowy w historiografii, chłodny, może niechętny, może sarkastyczny lub wzgardliwy”.

W uproszczonej postaci zatem wielki projekt wychowawczy Gombrowicza w stosunku do Polaków można zrekapitulować w następujący sposób - konsekwentna, bezlitosna ironia w stosunku do tradycji i narodowej formy ma na celu wychowanie osobników odruchowo podejrzliwych i zdystansowanych do wszelkich jej przejawów, czyli do wszelkich symboli, rytuałów i mitów. Los mitu Solidarności albo powszechne już dzisiaj utyskiwanie na brak symbolicznego punktu początkowego III RP stanowią miarę triumfu gombrowiczowskiego projektu wychowawczego. Jak bowiem ludzie wychowani na *Dzienniku* lub *Trans-Atlantyku* mieliby umieć podtrzymywać mity i budować symbole, skoro całe ich gombrowiczowskie wychowanie sprowadzało się do ćwiczenia odruchu całkowitej i bezkompromisowej dezynwoltury?

A jednak sukces Gombrowicza można określić jako pozorny, ponieważ jego istotą stanowi złe odczytanie intencji Wielkiego Wychowawcy. Ostatnią rzeczą jakiej pragnął Gombrowicz było bowiem wszczęcie Polakom alergii na polskość. Widać to wyraźnie, jeśli porówna się Gombrowicza z Miłoszem, który do końca swojego życia reagował jak najgorzej na samo słowo „naród”, tym bardziej na pojęcie „naród polski”, które zawsze kojarzyło mu się z Lechitami, cierpiącymi na notoryczną skłonność do nacjonalizmu. Odmienność postawy

autora *Trans-Atlantyku* widać na poziomie samego języka - Gombrowicz nie ma żadnych kłopotów z używaniem zaimka „my”, gdy chodzi mu o Polaków. W istocie zawsze, gdy atakuje tradycyjną polskość i polską formę, dąży nie tyle do jej unicestwienia ile do jej pobudzenia i wzmocnienia. Dosłownie mówi o „dwóch biegunach”, które można określić jako bieguny krytyki i afirmacji. Wielkość Gombrowicza bierze się stąd, że wszyscy grawitujemy wokół bieguna wyznaczonego przez gombrowiczowską krytykę. Nędza i klęska Gombrowicza polega na tym, że w ogóle nie pamięta się dzisiaj o drugim z jego biegunów, o biegunie gombrowiczowskiej afirmacji polskość. Jeśli jednak pamiętamy, że ironia i krytyka była tylko narzędziem służącym wzmocnieniu polskość, to klęska okazuje się większa od sukcesu. Zwyciężyło bowiem to, co miało pełnić rolę środka wiodącego do celu; sam cel jednak nie został zrealizowany.

Z wielu możliwych cytatów przytoczmy w tym miejscu tylko jeden, ilustrujący siłę organicznego niemalże związku pierwiastka krytycznego i afirmatywnego w myśleniu Gombrowicza o polskość. W pierwszym tomie *Dziennika* opisuje on mianowicie swój sen (oniryczna konwencja groteski służy zakamuflowaniu powagi deklaracji), w którym pojawił mu się ni mniej nic więcej, tylko sam Duch i wręczył mu Program. Były w nim między innymi takie punkty: „1. Literaturze polskiej, fatalnie spłaszczonej i skapcianałej, słabowitej i lękliwej, przywrócić pewność siebie. Stanowczość i dumę, rozmach i lot. 2. Oprzeć ją mocno na „ja” jej suwerenność i siłę, wprowadzić na koniec to „ja” w polszczyznę...ale uwydatnić jego zależność od świata...3. Przetawić ją na tory najnowocześniejsze i to nie powolutku, ale skokiem, ot tak, wprost z przeszłości w przyszłość (...). Wprowadzić ją w najtrudniejszą problematykę, w najboleśniej przełomowe komplikacje...ale nauczyć ją lekkości i lekceważenia i tego, jak ma zachować dystans... Nauczyć wzgardy dla idei i kultu osobowości. 4. Zmienić jej stosunek do formy. 5. Zeuropeizować - ale zarazem wyzyskać wszystkie możliwości aby przeciwstawić ją Europie”. Tak, to prawda, mamy tu i dystans i formę i wzgardę, mamy wszystko to, co stało się obiegowym odczytaniem gombrowiczowskiej krytyki polskość. Ale oprócz tych oczywistych i stereotypowych tropów mamy coś innego, na co naprowadzają naszą uwagę takie słowa-klucze jak „stanowczość”, „duma”, „rozmach” wreszcie „suwerenność”. To jest język afirmacji, który zawsze dopełnia fragmenty krytyczne. Za najlepszy przykład takiego stałego uzupełniania może posłużyć przytoczony wcześniej fragment, w którym Gombrowicz zdradzał swoje marzenie o przyszłej „wzgardliwej” i „chłodnej” historiografii polskiej, zdystansowanej do przeszłości i tradycji. Tuż po nim bowiem, tuż po fragmencie krytycznym - czytamy: „Mnie nie idzie o to, aby

usunąć tamtą afirmującą (tradycję - D.G.), a jedynie wzbogacić nasze możliwości”. „Wzbogacić nasze możliwości” - ciekawe zdanie. Jego sens sprowadza się bowiem ni mniej ni więcej do myśli, iż poprzestawanie na samej części krytycznej gombrowiczowskiej *paidei* prowadzi do pogorszenia sytuacji polskiego inteligenta.

Ciekawe, że ten sam sposób rozumowania można odnaleźć w tych fragmentach Dziennika, w których Gombrowicz opisuje stosunek Polaków do Zachodu i Europy. Jest to temat tym bardziej interesujący, że właśnie teraz nasza ostateczna integracja z Europą dokonuje się za sprawą pokolenia inteligencji wychowanej na *Ferdynandzie* i *Trans-Atlantyku*. Posłuchajmy: „Nie będziemy narodem prawdziwie europejskim póki nie wyodrębnimy się z Europy - gdyż europejskość nie polega na zlaniu się z Europą, lecz na tym aby być jej częścią składową specyficzną i nie dającą się niczym zastąpić”. Kiedy pisze o swoim wielkim programie, który „podszeptał polskiej inteligencji”, jego istotę widzi nie w rywalizacji z Zachodem, ale w obnażeniu własnego stosunku do formy. Tylko wtedy „my w tym będziemy silniejsi, bardziej suwerenni i skuteczni”. W innym zaś miejscu, gdy komentuje *Człowieka wśród skorpionów* Miłosza, notuje krytycznie „Miłosz chce, aby inteligencja polska dogoniła Zachód. Jest wyrazicielem powojennego polskiego zrywu w kierunku „europejskości” i „nowoczesności”. A ja, szlachcic hreczkosiej panie święty starej daty, wyciągam rękę i powiadam - z wolna! nie tędy droga! po diabła wam to?” I dodaje: „Dziś moim zdaniem polska „letniość” ma szansę i nie powinna się wstydzić”.

Nigdzie jednak Gombrowicz nie wykracza równie zdecydowanie poza granice zakreślonego mu przez swoich nieuważnych wyznawców i płytkich gombrowiczologów jak w trzecim tomie *Dziennika*, gdy zdaje relację ze swego pobytu w Berlinie zachodnim. Nie chodzi tu tylko o niezwykle opis jednego z pierwszych spacerów po Tiergarten, gdy poczuł wonie, które nieodparcie skojarzyły mu się z Polską - a przecież jest w tym opisie środkowoeuropejskich zapachów coś z proustowskiej szczerości dla prawdy wspomnień. Chodzi raczej o sposób, w jaki Gombrowicz opisuje Niemców. Jego relacja z pobytu w Berlinie jest bowiem w sposób fundamentalny niepoprawna politycznie w świetle dzisiejszych kategorii. Tym bardziej to uderzające, iż wówczas przyjęcie przez niego stypendium Fundacji Forda właśnie do tego miasta, ledwo w dwadzieścia lat po wojnie, było oceniane nie tylko w kraju lecz także na emigracji bardzo krytycznie. Wyjeżdżając z Berlina, opisując sprawiedliwie zabiegi niemieckich gospodarzy, zanotował: „Na nic! Na nic! Nie bądźcie dziećmi, wasze uśmiechy i wszystkie wygody, jakie moglibyście mnie ofiarować, nie zniweczą jednej minuty jednego jedyne go z polskich konań wielotysięcznych, a tak

urozmaiconych, o tak rozpiętej skali udręczenia. Nie dam się uwieść! Nie przebaczę!”. Czytając ten fragment Dzienników nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż zdolność Gombrowicza do krytyki polskości była wprost proporcjonalna do fizycznego oddalenia od jej przedmiotu. W głębi duszy pozostawał jednak polski, arcypolski, w stopniu, w którym polscy inteligenci wychowani tylko i wyłącznie na krytycznej interpretacji jego Programu muszą dzisiaj siłą rzeczy odbierać jako w najwyższym stopniu gorszący. Gombrowicz - kometa z oddali wykręcająca na wszystkie strony roziskrzonym ogonem ironii i szyderstwa, która zbliżając się do centrum grawitacji wyznaczającego jej orbitę, staje się coraz bardziej lojalna i przewidywalna.

Wielkie zwycięstwo Gombrowicza jako wychowawcy Polaków polega zatem na tym, że polscy inteligenci całkowicie wchłonęli i przyswoili sobie jego program krytyczny. Porażka polega zaś na tym, że jego wychowankowie nie umieją łączyć bieguna krytyki z biegunem afirmacji. Ich świat jest płaski, jednowymiarowy. Z gombrowiczowskiej nauki o formie polskiej zrozumieli tyle, że należy osłabiać każdą formę, każdy rytuał i każdy mit i że czynność ta ma charakter jak najbardziej autoteliczny. Nie potrafią zatem myśleć o krytyce jako tylko o wstępie do poszukiwania nowej silnej, prężnej i suwerennej formy polskiej. Zamiast tego fundują polskości stan chronicznego osłabienia, chronicznej deformacji oraz nieustającej transgresji. Myśląc odruchowo krytycznie o wszystkim, co kojarzy im się z tradycyjną polskością nie potrafią dostrzec w niej żadnego oparcia, żadnej nadziei na formę zbudowanie formy własnej. Stąd całkowicie utożsamiają się z Zachodem, który mityzuje i rozdyma do kształtu formy ostatecznej, ostatecznego rytuału i ostatecznego mitu, za pomocą którego chcą wychowywać bezforemnych rodaków. Dla wielu spośród wychowanków Gombrowicza krytyka polskości nie prowadzi zatem do rewizji tradycji, po to, aby odnaleźć w niej rzeczy dające solidne oparcie dla realnej pracy mającej na celu przekształcenie polskiej tożsamości, lecz do jej odrzucenia i zastąpienia mniej lub bardziej udaną repliką tego, co uważa się za standard zachodni. Po przeszło pół wieku od rozpoczęcia drukowania Dziennika w paryskiej Kulturze pewne jest tylko, iż nie mamy już dawnych form polskości. Nowych jednak też jeszcze nie mamy. Trudno oczekiwać ich wypracowania, od pokolenia, które uwierzyło w zbawczą moc imitacji. Gombrowiczowi - który na to wszystko patrzy z góry - nie jest chyba do śmiechu.

Dr Dariusz Gawin
Instytut Filozofii i Socjologii PAN